

MARGINESY

Sprawiedliwości stało się zadość

Tak zwany małpi gaj był dla mieszkańców niewielkiego W. jedynym praktycznie miejscem nadającym się na spacer, zabawę z dziećmi, odpoczynek. Przez sam środek miasteczka biegnie ważna droga przelotowa, którą mkną niefrasobliwie TIR-y i mniejsze ciężarówki, pozostawiając po sobie nieustanny hałas i chmury duszących spalin.

Małpi gaj położony na skraju zabudowań, nieopodal wciąż jeszcze czystej rzeczki i stanowił prawdziwą oazę, oferującą ludziom pragnącym wytchnienia spokój i świeże powietrze. Co prawda wieczorami, zwłaszcza wiosną i latem roiło się tam od zakochanych, przytulających się par, ale i samotny spacerowicz mógł sobie spokojnie poczapnąć, zwłaszcza główną alejką, bez obawy, że kogoś nadeprnie, albo, że spotka go jakaś krzywda. A jednak pewnego dnia zdarzyło się coś, co zburzyło dobrą opinię mieszkańców o tej oazie wypoczynku.

Pan Sławomir Sz. trudnił się na co dzień reperowaniem sprzętu elektrycznego. W wolnych chwilach chętnie uprawiał jogging, czyli, mówiąc po ludzku, biegał. Był jeszcze młody i bał się, iż brak ruchu pozbawi go kondycji. Tego feralnego wieczoru poczuł się wyjątkowo wyczerpany. Cały dzień ślezał nad jakimś cudem techniki, którego długo nie mógł rozgryźć. Kiedy w końcu się udało i przywrócił sprzętowi sprawność uznał, że runda wokół małpiego gaju dobrze mu zrobi. Sam nie potrafił sobie później wytłumaczyć, dlaczego akurat tego wieczoru zbroczył z głównej alejki i podążył ścieżką, wiodącą przez dosyć gęste krzewy. W pierwszej chwili nie zareagował na dość dziwne odgłosy, dobiegające znad rzeki. Ale dość głośny młodzieńczy śmiech przerodził się nagle w nieprzyjemny rechot, a po chwili doszło do niego coś co przypominało zduszone wołanie o pomoc. Próbował to przez moment zlekceważyć, ale kiedy powtórzyły się jęki pobiegł w kierunku, skąd dochodziły. Po kilku minutach dotarł na skraj niewielkiej polanki, na której kłębili się jacyś ludzie. Kiedy się zbliżył dojrzał trzech wyrosniętych młodzieńców, okładających leżącą na ziemi, niemłodą kobietę. Jeden z napastników właśnie wyrwał z jej rąk torebkę i z okrzykiem satysfakcji wyciągnął z niej zwitek banknotów. W niedużej od nich odległości leżał, najwyraźniej niezżywy mały piesek.

Pan Sławomir zadzwonił z komórki do straży miejskiej, żądając wsparcia, a sam nie namyślając się długo ruszył z odeszczą. Nie zastanawiając się uderzył prawym sierpowym pierwszego z napastników, zajętego przeglądaniem zawartości torebki i pewnie poradził by sobie również z tym okładającym pięściami kobietę, gdyby trzeci z nich nie przyłożył mu w głowę kijem bejsbolowym. Nasz dzielny bohater padł na murawę, a wtedy cała trójka zajęła się okładaniem go pięściami, butami i czym popadło. W zamieszaniu napastowana kobieta jakoś się zebrała i uciekła. Przybyli za to na miejsce dwaj miejscy strażnicy. Wezwali pogotowie do pobitego pana Sławomira i zaczęli wypytywać wyroszków o przebieg wydarzenia.

Kiedy następnego ranka nasz bohater odzyskał siły, dowiedział się, iż jest oskarżony o napaść na trzech młodych chłopców, z których jednemu złamał szczękę. Zagrożono mu, że czeka go

sąd i prawdopodobna odsiadka. Jeszcze tego samego dnia odwiedził go komendant straży miejskiej. Powiadomił go, że chłopak, który ucierpiał najbardziej jest jego synem i że on tego płazem nie puści. Zgnoi go. Zeznania kumpli poszkodowanego były jednoznaczne. Koledzy zrobili sobie piknik nad rzeką. Mieli trzy butelki piwa i spokojnie je spożywali, trochę sobie podśpiewując. Nie było żadnej kobiety, ani żadnego napadu. Do chwili, aż zjawił się Sławomir Sz. i ich zaatakował. Gdyby nie refleks i odwaga syna komendanta, pewnie by ich pozabijał.

Zeznania Sławomira Sz. przeciw trzem zgodnym zeznaniom chłopców nie wystarczały, ażeby obalić ich oskarżenia. A do tego jeszcze te fantazje o napadniętej kobiecie. Nikt przecież napadu nie zgłosił.

Sławomira Sz. nadal nachodził pan komendant, na przemian strasząc go więzieniem i proponując ugodowe załatwienie sprawy. -Tak czy inaczej sprawiedliwości musi stać się zadość - powtarzał wyświechtaną formułkę. Żądał kilkudziesięciu tysięcy złotych. Obiecywał, że jeżeli pan Sławomir nie zapłaci, to on spowoduje, że będą go nękać kontrole. Tak długo, aż będzie zmuszony wynieść się z miasteczka. Pan Sławomir jednak nie uległ i zdecydował się czekać na rozprawę. I zapewne przegrał by ją w sądzie i beknął za swoją obywatelską postawę, gdyby nie nagły, zupełnie nieoczekiwany zwrot.

Na policję zgłosiła się pewna starsza pani i opowiedziała, jak to dwa tygodnie wcześniej została napadnięta, pobita i okradziona przez grupę wyroszków, którzy na dodatek zabili jej ukochanego pieska. Towarzyszył jej znany miejscowy lekarz, jak się okazało, zięć pokrzywdzonej. Pani Honorata na prośbę przyjechała specjalnie dopilnować domu, gdyż ta z mężem i dziećmi udawała się na urlop. Wieczorami wychodziła z pieskiem na spacer do pobliskiego parku, bo jak Czarus się wybiegał to całą noc spał spokojnie. Okolica wydawała się jej spokojna, więc nawet nie przyszło jej do głowy, że może ją spotkać coś nieprzyjemnego. Ale kiedy kolejnego wieczoru wracała już ze spaceru zaczęło ją kilku młodych mężczyzn. Zażądali od niej pieniędzy. Odpowiedziała, że nie ma przy sobie ani grosza. Wtedy zepchnęli ją z głównej alejki i zawlekli przez krzaki nad rzeczkę. Tam ją poturbowali, zabili jej pieska usiłującego bronić swojej pani i wyrwali jej torebkę. Wtedy pojawił się nagle jakiś mężczyzna i wywiązała się między nimi bójka. Ona skorzystała z chwili nieuwagi oprawców i uciekła. Była obolała, mocno poturbowana i wystraszona. Kiedy rodzina wróciła z urlopu, zięć wysłuchał całej tej historii i zdecydował, że trzeba powiadomić policję. Sam zresztą poszedł z tym na prokuraturę. Sprawa nabrała wkrótce rozmachu, skojczenie pewnych faktów było dziecinnie łatwe i wkrótce zatrzymano sprawców napadu.

Kiedy pan komendant pojawił się kolejny raz u pana Sławomira z przeprosinami, ale i z prośbą, ażeby ten nie obciążał nadmiernie jego syna usłyszał swoje własne słowa, którymi do niedawna szachował ofiarę pobicia: -Panie komendancie, zeznania powinieliście musi stać się zadość! Sam mi pan to powtarzał. W. K.

NOWOŚCI FILATELISTYCZNE

Pamięci zdobywcy „Korony Himalajów”

Katowiczanie Jerzy Kukuczka jako drugi w dziejach wspinacz wysokogórski – po włoskim alpinście Reinholdzie Messnerze – zdobył wszystkie 14 szczytów o wysokości ponad 8 tysięcy metrów; sięgając tym samym po „Koronę Himalajów” i rozstawiając imię Polski w świecie. Gdyby nie tragiczna śmierć 24 października 1989 r. podczas ataku szczytowego południową ścianą na Lhotse (8511 m), 24 marca br. obchodziłby swoje 60. urodziny.

Katowice i katowiczanie pamiętają o wspaniałych, wymagających ponadludzkiego wysiłku osiągnięciach Jerzego Kukuczki. Na budynku przy ul. Markiecki w którym się urodził, widnieje tablica pamiątkowa, ufundowana przez Radę Bogucic i Radę Miejską Katowic. Imię Jerzego Kukuczki nosi bogucickie osiedle Katowickiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Światową sławę alpinisty dokumentuje i propaguje także środowisko filatelistyczne. Z jego inicjatywy, z okazji 60 rocznicy urodzin, od 24 marca w Urzędzie Pocztowym Katowice 3 (Bogucice) stosowany jest okolicznościowy datownik z wizerunkiem zdobywcy „Korony Himalajów”. Datownik zaprojektował Józef Kuczborski, prezes Oddziału PZF w Katowicach. Interesującym i cennym walorem filatelistycznych kolekcji, jest wydany przez Poczta Polska w 1988 r. znaczek w formie bloku z podobizną Jerzego Kukuczki na tle niebotycznych szczytów Himalajów. Na bloczku pomieszczono symbolikę Srebrnego Medalu Olimpijskiego, jakim polski zdobywca „korony Himalajów” uhonorowany został na Zimowych Igrzyskach '88 w Calgary.

40 rocznica protestów studenckich
W marcu 1968 roku doszło do kryzysu politycznego, zapoczątkowanego powszech-

nymi demonstracjami studenckimi w Warszawie, Gdańsku, Krakowie i Poznaniu. Protesty te poparły środowiska pisarzy i artystów domagających się – w odpowiedzi na zdjęcie z afiszy mickiewiczowskich „Dziadów”- wolności słowa. Skierowane były one przeciwko cenzurze oraz komformizmowi politycznemu ówczesnych władz, które upatrując w „Dziadach” antyradzieckie aluzje i akcentując żydowskie pochodzenie inspiratorów zajęć – rozpętały falę antysemityzmu, relegując wielu studentów z uczelni i powodując masową emigrację intelektualistów na Zachód.

40 rocznicę historycznych wydarzeń marca 1968 r. upamiętnia w filatelistycznych zbiorach okolicznościowa kartka wydana przez Poczta Polska. Ilustrują ją sylwetki studentów rozpędzanych przez Milicję i ORMO. Na wydrukowanym na kartce znaczku opłaty pocztowej wartości 1,35 zł widnieją natomiast fragmenty hasła Marca '86: Robotnicy z nami! Prasa kłamie! Przecz z cenzurą! Wolność! Demokracja! Konstytucja!

Samolot startuje z Pyrzowic

Startujący samolot ilustruje okolicznościowy datownik pocztowy, jakim od początku br. stemplowane są przesyłki ekspediowane przez Urząd Pocztowy w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Pyrzowice. Choć oficjalna nazwa brzmi: Międzynarodowy Port Lotniczy GTL Katowice w Pyrzowicach, na datowniku zabrakło... Katowic. A więc oficjalnej nazwy jednego z największych i najnowocześniejszych w Polsce portu, powszechnie znanej i używanej pod kryptonimem KTW na lotniskach wszystkich kontynentów. Warto pomyśleć o drobnej zmianie tekstu i „odtajnieniu” Katowic. ZB



WPISALI SIĘ W HISTORIĘ GÓRNICWA

Romuald Staszewski

Romuald Staszewski (1912-1978). Urodził się 14 kwietnia 1912 r. w gminie Małgiew koło Lublina. W roku 1932 ukończył lubelskie Państwowe Gimnazjum im. Stanisława Staszica. Służbę wojskową odbył w Szkole Podchorążych Artylerii we Włodzimierzu Podolskim. Studiował na Wydziale Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych KUL, uzyskując w 1937 r. tytuł magistra. Do wybuchu wojny pracował w Wołyńskiej Izbie Rolniczej w Łucku jako naczelnik Wydziału Ogólnego.

Zmobilizowany w 1939 r. brał udział w walkach pod Włodzimierzem Podolskim. Dostał się do niewoli sowieckiej, ale zbiegł z transportu i powrócił do Lublina, gdzie w okresie okupacji zatrudnił się jako pracownik fizyczny w piekarni. Należał jednocześnie do Armii Krajowej, w której do kwietnia 1944 r. był komendantem rejonu.

26 sierpnia 1944 r. Romualdowi Staszewskiemu powierzono stanowisko dyrektora departamentu w resorcie rolnictwa Państwowego Komitetu Wyzwolenia Narodowego; następnie Rządu Tymczasowego. 18 maja 1945 roku podejmuje pracę na Śląsku, gdzie do 30 września 1948 r. piastuje stanowisko zastępcy naczelnego dyrektora Centrali Zaspotrzenia Materiałowego Przemysłu Węglowego; z kolei do 1949 r. kierownika Delegatury Centralnego Zarządu PW w Warszawie.

W latach 1949-1950 był radcą ministra; od 1950 r. – dyrektorem departamentu w Ministerstwie Górnictwa; w roku 1954 – kierownikiem Delegatury Centralnego Zarządu Budownictwa Węglowego w Warszawie; zaś w latach 1954-

1957 – dyrektorem Przedsiębiorstwa Materiałów Podsadzkowych PW w Katowicach. Jednocześnie w latach 1949-1954 był redaktorem naczelnym czasopisma „Gospodarka Materiałowa”.

Doświadczenie zdobyte na kierowniczych szczeblach w resorcie górnictwa oraz predyspozycje organizatorskie sprawiły, że 1 marca 1957 r. Stanisław Staszewski powołany został na stanowisko dyrektora naczelnego ZPWB we Wrocławiu; zaś od 16 czerwca 1960 r. do 31 lipca 1963 r. był dyrektorem Kombinatu „Turów” i pełnomocnikiem ministra do spraw rozbudowywanego się Turoszowskiego Zagłębia Węgla Brunatnego. Był więc budowniczym uruchomionej w 1963 roku i włączonej do kombinatu kopalni „Turów II”. W tymże roku ponownie objął stanowisko dyrektora naczelnego ZPWB.

Konflikt z ówczesnymi terenowymi władzami partyjnymi spowodował, że z początkiem 1967 r. odwołany został z dyrektorskiego stanowiska i zatrudniony w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki. Ambicje prowincjonalnych aparatczyków, wraz z nimi poszły w niepamięć. Natomiast Stanisław Staszewski, swoją ofiarną pracą, której owocem był jego wymierny wkład w odbudowę i rozwój rodzimego kopalnictwa węgla kamiennego i brunatnego, wpisał się na karty historii polskiego górnictwa.

Wpis ten Roman Staszewski dodatkowo „przypieczętował” 11-letnią kontynuacją pracy na stanowisku kierownika Delegatury Przedsiębiorstwa „Kopex” w Warszawie. 31 grudnia 1977 r. przeszedł na emeryturę. Zmarł 3 września 1978 roku. ZB